Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

ROK 52 KRAKÓW, DNIA 22. MAJA 1920 Nr. 9

DJABEŁ

Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ“
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egz. 2 Mk. 80 f. (4 K.)

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przes. poczt.:
całorocznie . . . . . 120 Mk
półrocznie . . . . . 60 „
kwartalnie . . . . . 30 „
Cena egz. 2 Mk. 80 f. (4 K.)

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

PONAD GŁOWAMI ENTENTY.



Ententa. Jeszcze przed rokiem nie pozwalałam wkroczyć Polakom nawet do Lwowa. A dziś kpią ze mnie i Pan Piłsudzki aeroplanem wpadł do Kijowa.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prosimy o odnowienie prenumeraty! Warunki w nagłówku. — Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Borkowski, Kraków ul. Niecała L. 4.

Do wszystkich Agencji dzienników i Księgarń kol.! — Zawiadamiamy, że z dniem I. Kwietnia cena egzemplarza „Djabła“ kosztuje 2 Mk. 80 f. — 4 K.

NA DZIEŃ ZESŁANIA DUCHA ŚWIĘTEGO.

Duchu święty z mgieł niebieskich
Zstąp na ziemię z Bożej łaski,
Oświeć łotrów ruskich, czeskich,
Zerwij z podłych szwabów maski,
„Neutralnym“ zwróć rozsądek,
Oblej wodą bolszewików —
Jednem słowem: zrób porządek:
Z całą zgrają rozbójników.

Duchu święty, oświeć głowy,
Lloydów Georgów i Wilsonów,
Co chcą nowe kuć okowy
Tym, co z wrażych rwą się szponów.
Niech nie skończą się dni chwały
Tryumfami pełnej kiesy —
Niech zwyciężą ideały,
Nie handlarskie interesy.

Duchu święty, spójrz litośnie
Na tę biedną polską ziemię,
W której tylu trutniów rośnie,
Tylu rządzi bitych w ciemię...
Niech zasługa, rozum, wiedza,
Aferzystów bandy zetrze,
Niech protekcja nie wyprzedza,
A oczyści się powietrze.

Weź w opiekę, Duchu święty,
Z wykształconych sfer nędzarzy,
Niech nie wieje im wiatr w pięty,
I coś zjeść się czasem zdarzy.
Okaż litość nad tym stanem
Też stworzonym Boską wolą, —
Choć dziś rzeźnik świata panem,
Choć dziś paskarz ziemi solą.

Duchu święty, olśnij prasę
Ognistymi językami,
Niech wydawcy robiąc „kasę“,
Ulitują się nad nami

Niech nie dają samych śmieci,
Błazeństw, brudów, głupstw banalnych,
Niech im coś wyższego świeci,
Oprócz „kwestyj“ teatralnych.

Duchu święty, w blasku jasnym
Zstąp na wieszczków pokolenia
I dekretem zakaż własnym
Załzawionych arf kwilenia —
Niech pieśń wielka Zmartwychwstania
Zabrzmi w żywych prawd szkarłacie,
A poetom od szlochania
Daj dyurnum w magistracie.

WICEK SOCJALIK.



Do Jaśnie Wielmożnego Wicka Socjalika, redaktora, członka wielu jenstytucyj pożytecznych, jako tyż poletycznych, chwielantropijnych i trunkowych

w Krakowie.

Kochany bruderku! Nie grypsałem do ciebie ode czasu jakem tu przyknajał do Warsiawy. Ale ni miołem czasu bez to, com sie furt translukuwoł z ministyrstwa do ministyrstwa. Jak wisz, Ignac kalika wsadziuł ci mie do ministyrstwa pracy i dopieki społecznyj. Ale mi sie tam nie widziało. Furt trzo beło ujadać sie z towarzyszami — taka ci kumpanja tero nie lo mnie; — nie na tom, brachu, ostał dygnitarzem rządowym co bym z bele kim sie zadawoł i swarzył. Więcem, nic Ignacowi nie mówiący, poszed cichcem do Witosa i pedziołem mu co puskam w trąbę socyjałów, a bede tero lodowcem, jako to najfajnijsza, najbezjenteresownijsza, najwięcyj lo kraju poświncajonca sie partyjność. Pedziołem mu tyż, żem choć jenteligent, bede go słuchający i co mi każe wykonywujący, tak jak to robiom wszystkie jeich jenteligenty lodowcowo-witosowe. A no, Witos ucieszył sie co takom jak jo siłą powinkszy zastympy najfajnijszych patre-

jotów — dał mi grabę do pocałuwania, a potym zawołał Bardla i kazował mu coby mie zrobiuł kalika szefem w ministyrstwie rolnictwa, jako że jo sie tak na tem znam, jak sam pon minister. Ale i ztamtąd dałem psiokrew wytykę, jako, że sie w tym ministyrstwie mo znowuj do czynienia z bele kiem; przychodzom furt same biedronie i kużdy kalika jajczy co za swoje przywiązanie do kraju nimo takigo jak potrza wynagrodzynia. A kużdy sie kalika pyta kiedy wyrzucom na pysk jego obszarnika, jako że on po tym ciarachu chce wziąć pare kielkanaście morgów grontu i dwór z ogrodem. Jeden ci taki biedroń z pod Tarnowa, to ci tak jadaczkę rozdziawił i na Bardla pomstuwoł, że aże sie całe ministyrstwo zleciało na oną jawanturę. A szło ci kalice o to, że mu Witos przyrzekł w Gumniskach u Sankuśki dziesińć morgów grontu, staw z fištoklonami, pasiekę i kawałek parku do wycięcia — a chocia przyrzekł, to ci jeszcze Sankuśki z Gumnisk nie wyłał, a on biedroń dłużyj na nagrodę ode ojczyzny ni może być czekający.

Poknajałem psiokrew z kolei do jendeków, proszący coby mie do jenszygo ministyrstwa wtrynili. Odebrali kaliki odymnie przysingę co jeim bede wierny aże do śmierci i co jeich bede broniuł na lądzie i morzu — a potym zrobili ci mie szefem w ministyrstwie śtuki i kultury. I tu już ostałem, jako że lepszejszygo urzyndu nie najdzie w całym polskim landzie. Nic tu chłopie ni mosz do roboty. Pan minister sobie podróżuje z kielkoma urzyndnikami, a my se w biurze ino dyziury robiemy, coby beł kto jak sie zgłosi z jenteresem jaki artesta, literata, abo szmaciarz. A kużdy kalika jajczy i peda co mu sie za jego talent naliży zapomoga. A więc pon minister daje kużdymu po dwa, abo trzy tysince marek. A som nawet takie sufragany między onymi dziadami, co se kazujom dawać akonto przyszłygo talentu. Tak ci na ten przykład dostało po 3 tysince marek trzech jakademików, które som dopiru kandedatami na poetów.

Raz ci przyknajał do ministyrstwa jakiś młody żgac, bez wiór [1]) na gębie. — Myśle se: pewnikiem komedjant, więc pedam z kim mam okoliczność? A on ci na to: jezdem Glinka. A no piknie, z glinki może być porcenela. Więc znowu pedam: przeproszom, ale jakigo pan fachu? Pojrzał kalika na mnie jak psi na dziada i peda drugi roz: jezdem Glinka. — To wiem — pedam, bo już to pan pedział — ale czy pan maliarz, komedjant abo z przeproszyniem muzyk? — Jezdem Glinka — pedzioł po raz trzeci i to tak sielnie naciskająco, com zmiarkuwał zaro jako mom przede sobom jakąś znakomitość i co kużdy powinien wiedzieć kto to jest Glinka. A no, więc spytałem sie ino: czem mam być służący? A on peda: „Jezdem prezys zjazdu leteratów i potrza mi na on zjazd hopów". Więcem chłopa zaprowadziuł do pana mienistra, który choć tyle psiokrew wiedział o Glince co i jo, kazował mu zaro z kasy wypuczyć dziesińć tysincy mareczek, coby sie leteraty zjeździć beły mogące.

[1]) włosów.

Beł ci ten zjazd tero bez trzy dni. Przyknajało z Krakowa kielka znajomków i znajomek, więcem sie od nich dowiedzioł jak i co na onym zjeździe beło. Ale o tym nagrypsam ci bruderku dopiro w nastympnej grypsance, bo tero papir sie kuńczy.

O rezerwuar

Twój

Ferdek

Postryptum. Co do onyj ustawy alkoholowyj nie miej, kaliko, do mnie nijakigo żalu, bo to jensze ministyrstwo, a nie nasze, beło on zamach na potrzeby narodu robiące. Nasze ministyrstwo, jako repryzyntujące artestów i leteratów, trunkowość szanujących, nigdy by do onego ucisku kultury i śtuki graby swoij nie przyłożyło.

NA POWRÓT DMOWSKIEGO.

Już księżyc zaszedł, psy się uśpiły
A coś tam klaszcze za borem.
Pewnie to, pewnie, mój Roman miły
Pod umówionym jaworem.

Zrzucę przepaskę i drżąc z rozkoszy
W objęcia jego się schylę.
Niechże nikt szczęścia mego nie spłoszy,
Bo będę kopać — i tyle.

Endecja.

Przebóg! co to za szkarada?
Ledwo przyszedł i już gada...
Precz stąd na lasy, na rzeki,
I zgiń przepadnij na wieki
Jak ruda mysz!
Precz ententowy opoju
Zostawże nas w spokoju
A kysz, a kysz, a kysz!

Pepeesja.

.... [1]) se na ludzi z miasta,
Chłop potęgą jest i basta.

Witosja.

[1]) Wyraz nieczytelny.

MORDERSTWO.

(Zdarzenie prawdziwe).

Przed laty kiedy to piwo było jeszcze tanie, Stanisław Plasterek, słuchacz prawa wracał w nocy z komersu. Mieszał przy ulicy Karmelickiej w Krakowie ale, że wypite piwo jego geograficzne wiadomości zredukowało ad minimum, podążył na ulicę Grodzką. Silnie był o tem przekonany, że w tym kierunku dojdzie na ulicę Karmelicką.

Na Stradomiu spotkał murarza Pawła Kafara, który zdążał na Podgórz, gdzie oprócz Larów i Penatów od dwóch dni oczekiwała go żona Barbara z miotłą w ręku. Ulica Stradom jest dość szeroka, ale mimo to nastąpiło zderzenie Stanisława Plasterka z Pawłem Kafarem. Po zderzeniu rozpoczęli ożywioną dysputę, następstwem której było, że Paweł Kafar pięść przyłożył do nosa Stanisława Plasterka, skutkiem czego z nosa puściła mu się krew, która walała całe ubranie i buty. Jak i dlaczego później Paweł Kafar znalazł się w aresztach pod telegrafem, o tem historya milczy.

Stanisław Plasterek dążył dalej ku ulicy Karmelickiej; — przebył szczęśliwie most podgórski i kilka bocznych ulic, gdzie jednak mimo skrzętnego poszukiwania ulicy Karmelickiej odszukać nie zdołał. Nareszcie w rowie przed barakami po krótkim namyśle przyszedł do przekonania, że nietylko jest na ulicy Karmelickiej, ale nawet w swojem mieszkaniu. Zapalać lampy nie czuł się na siłach; palto powiesił na parkanie, zegarek i pulares wyjął z kieszeni, buty i inne części ubrania rzucił tam, gdzie według jego zdania powinny stać stołki, a potem rozebrany położył się do rowu; cylinder służył mu za poduszkę.

Snu bogini nawet z zawianymi nie obchodzi się po macoszemu; Plasterek śnił też, że znajduje się w buduarze panny Ireny, że ją ściska i całuje. Nagle śniło mu się, że ojciec panny Ireny okłada go cybuchem, co było powodem, że się zbudził i oprzytomniał. Ponieważ przypuszczać nie mógł, iż dobrowolnie obrał sobie za miejsce czasowego spoczynku rów, nabrał przekonania, że musiały tu działać jakieś siły nadprzyrodzone. Nie mogąc jednak dojść do tego, jakie to były siły, które jego osobą zajmować się chciały, a w szczególności ściągały mu buty, spodnie i inne części ubrania, po krótkim namyśle było dla niego rzeczą jasną, że ktoś go napadł, obrabował i bezprzytomnego rzucił do rowu. Zerwał się na równe nogi i w głębokim negliżu, z cylindrem na głowie, udał się do budki strażnika kolejowego, u którego widział światło. Strażnik na razie przestraszył się, bo myślał, że to duch, ale że duchy chodzą wprawdzie w negliżu ale nie w cylindrze, wkrótce ochłonął z przerażenia. Plasterek oznajmił mu, że został obrabowany, a poczciwy strażnik wypożyczył mu swój płaszcz, poczem Plasterek udał się do komisarza policyi w Podgórzu. Komisarz spisał protokół o strasznym rabunku, wysłał gołębia w postaci strażnika do mieszkania Plasterka wprawdzie nie po gałązkę oliwną, która w danym wypadku była zbyteczną, ale po parę spodni i inne części ubrania.

W tym samym czasie dwie zacne gospodynie z Wieliczki, to jest pani Kubalowa i Łopacina, niosąc mleko zaprawione mąką i wodą, które w Krakowie łaknącym białej kawy, jako śmietankę sprzedawać zamierzały, przechodziły koło rowu, w którym Plasterek śnił o nadobnej Irenie. Obie równocześnie spostrzegły zakrwawione palto i inne krwią zbroczone części ubrania; obie jednocześnie uznały, że popełniono tu morderstwo; obie zabrały porozrzucane części ubrania; obie nakoniec pomimo, że naraziły swych odbiorców, że o godzinę później pić będą jako śmietankę mleko z mąką, udały się do komisarza policyi w Podgórzu.

— Rzeczy mamy — wołały obie kobiety, wszedłszy do biura komisarza — ale trupa nikaj nie mogłyśmy odszukać. Pewnikiem mordercy wrzucili go do Wisły! Komisarz po krótkim namyśle, rzekł do zacnych gospodyń: — Trup jest w przyległym pokoju, możecie go zobaczyć!

Kobiety na razie aż ku drzwiom się cofnęły, ale ciekawość zwalczyła przerażenie, weszły pomału do drugiego pokoju i tam ujrzały trupa — to jest Plasterka grzejącego się przy piecu, który od nich przyniesione części ubrania odebrał.

Jakiej admonicyi udzielił komisarz Plasterkowi? nie wiem ale jest pewnem, że Plasterek drugim razem bez mapy Galicyi z Wielkiem Księstwem Krakowskiem, planu Krakowa i busoli na komers się nie wybierze.

T. S. K.

LITERAT.

Znany powieściopisarz, Karol Wiński kończył właśnie pisać ostatni ustęp powieści, gdy służący wszedł do pokoju i wręczył mu bilet wizytowy. „Ryszard Topór Wirgełło" opiewał bilet, a poniżej były nakreślone słowa: „Prosi o przyjęcie, w celu omówienia ważnej sprawy". Wiński nie mógł się wprawdzie domyśleć, co mu ten kolega po piórze ma ważnego do powiedzenia i nigdy o jego uszy jego nazwisko się nie obiło, ale mimo to polecił służącemu, wpuścić go. Mężczyzna blady, w podartym surducie i zabłoconych butach wszedł do pokoju. Pod pachą miał wielki zwój różnych rękopisów.

„Czem mogę panu służyć"? zapytał Wiński — zaniepokojony wzrokiem gościa, który badawczo na nim spoczywał. Na to Wirgełło jakby ze snu przebudzony, przesunął ręką po czole, westchnął głęboko i z widocznem przezwyciężeniem mówił: „Mistrzu, wierzaj mi, że nie łatwo przyszło mi udać się do ciebie, ale słysząc, że jesteś szlachetnym człowiekiem, a moje położenie jest rozpaczliwem, zmuszony, pomijając formy towarzyskie, na ten krok się odważyłem". Wirgełło wyrzekł te słowa głosem drżącym i już zamierzał opowiedzieć całą historyę swego żywota, gdy Wiński, aby temu zapobiedz, rzekł: „Kolega wybaczy, ale mój czas jest ograniczony. Mam uczestniczyć w ważnem posiedzeniu".

„Mistrzu, musisz mnie wysłuchać. Jestem potomkiem starej szlacheckiej rodziny. Niestety, straciliśmy majątek! Ja miałem się poświęcić stanowi wojskowemu — na nieszczęście czułem powołanie literata. Ojciec mój był temu przeciwny i wypędził mnie z domu. Jest okropnie surowy

i nigdy nie odważyłbym się, stanąć przed jego obliczem. Już dwa lata zajmuję się sprawami literackiemi, ale niestety bez uznania. Wierszy moich nikt nie chce drukować, dramatów i komedyj nikt przedstawiać. Zaledwie jeden z prowincyonalnych dzienników zamieszcza moje utwory. Z tego jednak żyć nie mogę. Honoraryum więcej niż liche. Od wczoraj nie jadłem nic, a jutro wyrzucą mię z mojej izdebki na poddaszu. Mistrzu, radź, co mam uczynić"!

Wiński, słysząc te słowa, sięgnął do kieszeni po pulares. Gdy to Wirgełło spostrzegł, zawołał oburzony: „Panie! pan chcesz mi dać jałmużnę? Mnie potomkowi starej szlacheckiej rodziny dawać jałmużnę, jest bezdenną obrazą. To rzekłszy, biegał po pokoju jak szalony, krzycząc: „Więc w ten ochydny sposób przyjmuje się nieszczęśliwego kolegę, potomka rodziny, która dla kraju i ojczyzny wiele zdziałała. O, to straszne, to okropne! Ja proszę o radę, o poparcie, a pan mi daje jałmużnę! To najboleśniejszy cios jaki mnie spotkał w życiu! Tego nie przeżyję! O, dla mnie pozostała już tylko jedna droga wyjścia! Po tych słowach wyjął z kieszeni rewolwer i trzymając go w ręce, boleśnie wzdychał. Wiński spoglądał strwożony na niego, nie wiedząc, czy ma do czynienia z waryatem, czy zbrodniarzem i już chciał zadzwonić na służącego, aby natrętnego gościa wydalił, ale w ostatniej chwili cofnął rękę od dzwonka. Dzwonić byłoby gorzej, bo nim służący by nadszedł, mógł go szalony, czy też złoczyńca zastrzelić. Wirgełło, widząc, że Wiński miał zamiar przywołać służącego, rzekł: „Mistrzu! nie jestem ani złoczyńcą ani waryatem! Możesz być zupełnie spokojnym o swoje życie. Ofiara jest potrzebną, ale nie ty nią będziesz. Ja padnę ofiarą".

„Na Boga! — zawołał Wiński — przecie tu w mojem mieszkaniu pan nie zechcesz pozbawiać się życia"!

„Uczynię to z pewnością! To jedno mi jeszcze zrobić pozostaje. Życie moje przeszło bez sławy i uznania — jeżeli jednak pozbawię się życia w pańskim domu, w domu sławnego powieściopisarza, to przynajmniej o mojej śmierci szeroko pisać będą. To dziś jest dla mnie jedyną pociechą i chętnie życia się pozbawię"!

„Ależ panie" — mówił przerażony Wiński — „jakże możesz pan będąc w sile wieku, kiedy możesz jeszcze uzyskać sławę i uznanie, pozbawiać się życia"!

„O, mnie już nic dobrego nie czeka! Pan zapominasz, że dziś mają mnie wyrzucić z mieszkania. Jakżesz tu marzyć o sławie i przyszłości"!

„Pieniędzy pan przyjąć nie chce. Cóż więc mogę dla pana uczynić"?

„Nie jestem żebrakiem. Pieniędzy, jałmużny przyjąć nie mogę. Muszę mój nędzny żywot zakończyć. Ale niech się pan nie obawia, że nie zabiję się odrazu. Ten rewolwer to świetna broń — proch bezdymny. Kupiłem go za dobrych czasów za 50 marek". — To rzekłszy, naciągnął kurek od rewolweru.

„Wstrzymaj się pan — zawołał Wiński. „Nie chcesz jałmużny, to dobrze, to bardzo ładnie — cenię pańską ambicyę. Ale przecie to panu nie ubliży, jeżeli od pana rewolwer odkupię. Dałeś pan za niego 50 marek. Sprzedaj mi go za tę samą cenę".

„Ha, niech będzie" — odrzekł Wirgełło i gdy po chwili Wiński wręczył mu 50 marek, spiesznie się z mieszkania wydalił.

Po jego odejściu zagroził Wiński służącemu wydaleniem, jeżeli mu jeszcze raz wpuści do pokoju jakiegoś podupadłego literata.

Wirgełło udał się tymczasem do pobliskiego składu broni, gdzie już na niego właściciel sklepu oczekiwał i kładąc na ladę 150 marek, rzekł:

„Dziś sprzedałem trzy rewolwery po 50 marek. Tytułem prowizyi należy mi się 50 marek.

MONOLOG SCHMAJGEŁESA.

Od sztuki i od kultury
Minister z sekretarzami
Ist gekimmen w nasze mury,
Bi sze poznać z artystami.
Jadał fajnowe objady —
Badał sztuki w każdej mierze —
Były mowy i parady —
Był w tiatrze na operze.
Ale my całkiem innego
Od niegi sze spodziewali:
Że un zrobi coś sztucznego,
To, co schlecht jest, un oddali —
Że un taki kunsztyk zdziała —
Bo na gwałt go nam potrzeba —
Nauczy jak ludność cała
Może żyć bez mięsa, chleba.
Bo nie czas na popieranie
Sztuk, które kosztują wiele —
My tego robicz nie w stanie,
Skoro grozi nam benkele.

DO ODZNACZONEGO ZŁOTYM KRZYŻEM ZASŁUGI WYSTOSOWALI KOLEDZY NASTĘPUJĄCY WIERSZ.

Jak Chrystus nosił wielki krzyż,
Niczem nie zasłużony,
Bez zasług nosisz mały też,
Będąc nim ozdobiony.

JEDYNY ŚRODEK.

Spotkałem wczoraj rozpromienionego przyjaciela.

— Cóżeś taki uszczęśliwiony? zapytałem.

— Powiadam ci, wspaniały zrobiłem interes. Będę miał najlepszą mąkę, biały cukier...

— A to w jaki sposób? Bój się Boga, gadaj, poradź... bo ja nie mam.

— Będziesz miał, jak pójdziesz za moim przykładem...

— Nie draźnij się ze mną, mów wyraźnie!

Przyjaciel mój obejrzał się, czy kto nie podsłuchuje i szepnął mi na ucho: „Wracam od rabina, przeszedłem na wiarę żydowską".

KRÓTKA POWIEŚĆ.

Był on i ona i było ich dwoje —
On ją kochał, ona jego, kochali oboje.
On nie miał pieniędzy i ona nie miała —
Pobrali się, z głodu zmarli — ot i powieść cała.

TRZECIE OPOWIADANIE

bohatera Jojny Kapelusza jak un potrzebował zdobyć rosyjską fanę, dostał medal od waleczności i został mianowany freitrem.

Pod Gorlicami, nie zbyt podłem mieście,
Siedziałem w rowie jak zając skurczony.
Przedemną może tak o kroków dwieście
Buło Moskalów ze dwa miliony.
Aby, nim każe sztab jenerałowy
My sobie za łby nie wzieni wzajemnie,
To między nami stanuł płot drutowy,
Co na dwie części dzielił nas sumiennie.
Ja bułem w strachu, że źle ze mną będzie,
Że mnie los spotka brzydki surowy,
Że Moskal sobie tak po mnie przejedzie
Nie przymierzając jak walec parowy.
Kto z rowu nosa wystawił pół cala.
Palec od ręki, lub kawałek ucha,
Zaraz zabitym został przez Moskala,
Bo un mu strzelnuł w serce lub do brzucha.
Ja wiedząc jako strategik nie mały,
Strzelałem sobie przez noc i dzień cały
Nie do Moskala ale furt do nieba.
Wprawdzie nikomu nie zrobiłem śmierci —
Więcej moralne buło to działanie,
Bo huk kiedy się aż pod niebo wierci,
We wojnie bardzo wielkie ma uznanie.
Huk wprawdzie zabić nie może człowieka,
Lecz mu strach robi, co ma tyle mocy,
Że przerażony człowiek tak ucieka,
Jak gdyby kamień wyrzucony z procy.
Miesiące w rowie siedziałem jak w cieniu,
A że się w rowie bardzo mało rucha,
Ku memu bardzo wielkiemu strapieniu,
Szybko objętość rosła mego brzucha.
Ale, że kużde na świecie długości
Mieć potrzebują swoje zakończenie,
Więc dnia jednego ku mojej żałości
Piękne się w rowie skończyło siedzenie.
Najpierw ogromna buła kanonada —
Ja już miszlałem, że świat pęknie cały —
Kul i szrapnelów latała gromada,
A we mnie sobie wszystkie nerwy drgały.
Na karabinach maszynowych grali
Jak Paderewskich stu na fortepianie.
Przeróżne sobie miny wyrzucali —
I było bardzo wielkie zabijanie!
Potem do szturmu trąbili z trąbami.
Wyszedłem z rowu, nie mogąc dać nura,
I kiedy wszyscy szli naprzód z gwerami,
Zostałem w tyle i wołałem: hura!
Lecz to nie było tchórzności wynikiem,
Ale taktyczny pomysł wyśmienity,
Który we wojnie jest wielkim czynnikiem —
Ja o nim wiedział z dzieł króla Nikity.
Potem pomału szedłem krok za krokiem
I tak doszedłem do wielkiego krzaka,
Pod którym ujrzał przerażonym okiem,
Moskala. Z faną krył się tam sobaka.
Un mnie też spostrzegł. Jakby dwa augury
My sobie wzajem patrzeli do zęby,
A po tem jakby wyszedł rozkaz z góry
„Pardon" krzyknuły nasze obie gęby.
Moskal ku niebu podniósł ręce obie,
Ja także ręce wzniosłem ponad głowę.
My tak z godzinę stali przeciw sobie
Jak na wystawie figury gipsowe.
Lecz, że jedynie figury zrobiane
Stać cicho mogą do nieskończoności,
Tak stać bez ruchu było nam niedane,
I musiał nadejść kuniec tej sztywności.
Moskal też takie rzeknuł do mnie słowa:
„Ty głupi Jojne, ty mnie nie poznałeś?
Ja jestem Berek Aftergut z Miechowa —
Ty przecie zemną dawniej handlowałeś.
Czy nie pamiętasz, że zrobiany z chleba
Pieprz sprzedawałem ja tobie workami?
Żem klął na ciebie, wołał pomsty nieba,
Bo fałszywymi płaciłeś rublami.
Czy nie pamiętasz jak my do spólności
Sprzedali kunia, co był ufarbiony,
I co miał ogon trzy metry długości,
Przez nas kunsztownie bardzo przyprawiony?
Czyś ty jest Grejem? a ja Ponikartym?
Czy mamy zyskać lub stracić korony?
Czy to interes być złym i zażartym?
Strzelać do człowieka jak do jakiej wrony?
Na co my mamy siebie zamordować?
Lepiej załatwić sprawę po dobrości:
Tę piękną fanę tobie ofiarować
Ja za koronę jestem w gotowości!"
Jak ten, któremu na brzuchobolenie
Brzuch wysmarują masłem nie solonem,
Ma radość, tak mnie Berka przemówienie
Sprawiło radość w sercu zatrwożonem.
Z Berkiem my po tem usiedli pod krzakiem —
Fanę kupiłem za cztery korony,
A po tem z faną mego męstwa znakiem
Biegłem za moim pułkiem ucieszony.
Pułk z mego czynu miał wiele radości —
Sam pan pułkownik ściskał mnie, całował,
Nadał mi złoty medal waleczności,
A po tem zaraz freitrem zamianował.

T. S. K.

POEMAT MODERNISTYCZNY.

...„Spał... Tylko seledynowe powieki huśtały się na zawiasach wściekłej karuzeli westchnień. Nagle uśmiechnął się... widocznie uchwycił we śnie za drąg szczęścia lub film nadziei. Zmierzch snu, jutrzenka przebudzenia. Mgły szarości pękły nad grobem błon i płynów rogówki i naczyniówki — skurczona źrenica rozciągnęła się jak gumowe wkłady trzewików szewrowych. Wzrok jego spoczął na pomarańczowem uwłosieniu siedzącego obok siostrzeńca, który czytał najnowszy roztwór fioletowo-ananasowej fantazji Eleonory z Opyrchałów Potykalskiej...

— Czytaj głośno, pierworodny synu mej siostry — zawołał on, lekko unosząc się z macierzy ziemi i zapalając dymorodnego papierosa.

„Na rozigranym dywanie podłogi mego serca— czytał pomarańczowowłosy — wzleciałam nad cicho gulgoczący śnieżną piersią strumień. Pod cieniem okulawiałego meta-dębu siedziało na kieszu i jujubie dwoje nadludzi w starożytnych strojach rajskiego praprabytu, a żółto kwaśne fale cynobrowej rzeki lizały ich stopy. Bezwzględna cisza huczała na rozbitym zegarze świata, trącając lekko w tiktakujący perpendykuł szczęściażądnych nurtów ich myśli.

— Cicho-sza. Cisza i jeszcze raz cisza - - - i sza-sza-a.

— — — — — — — — — — —

On porwany kołopędnym ogniem czaru, jedną ręką chwycił się za tętnowalny worek sercowy, a drugą wołał:

— O ty moja, najmojsza!

i dosłyszał jej cichy, jak skrzypienie koła u wozu, szept różowozłoty:

— O tak, jam twoja, najtwojsza.

...I znowu była cisza, isza, sza-a. Tylko żółtokwaśne fale cytrynowej rzeki lizały ich nagie stopy...

— — — — — — — — — — —

Skwar dochodził 32 stopni Fahrenheita. Mewa zaklekotała nad wyszczerzoną gardzielą humusowego wyrwiska, kaskada tęcz osiadła na zrudziałej plaży leśnych mokrzadeł.

I znowu była cisza, a żółte fale cynobrowej rzeki lizały ich nagie stopy.

Czasem tylko w tym chramie zadzwoniła zielonemi z zimna zębami czerwona stokrótka, a uśmiechający się złowrogo trzmiel zapadał w głębielisko szmaragdów.

— — — — — — — — — — —

I tak siedzieli długo, długo ci nadludzie sami, najsamsi, związani sznurem uczucia i gędźbą przyrody, póki do klatki ich miłości nie wleciał wróbel głodu... Ach!

Ząb rzeczywistości zgryzł łupinę omamień wielkiego Zawsze i Przenigdy.

Wstali .. I znów nastała cisza, isza, sza, atylko śnieżno-pierśne fale gulgoczącej rzeki tuląc się do meta-dębów, błękitne wydawały dźwięki“...

— — — — — — — — — — —

Z TYGODNIA.

Zdobycie Kijowa jednych cieszy, drugich smuci.

Tak zwany ogół dumnie spoziera, mówiąc: Ha! jakie mamy wojsko. Ten ogół w politykę się nie bawi, jego cieszy kiedy żołnierz polski bije.

Kupcy cieszą się, że wszystko znowu podrożeje, bo do Kijowa pójdą transporty różnych artykułów, a stąd będzie można brać 5000 marek za koszulę, a 1000 za chustkę do nosa.

Chłopi cieszą się, bo myślą sobie: na Ukrainie są olbrzymie dobra panów polskich, to my je sobie przy pomocy Witosa zabierzemy.

Żydzi cieszą się, że nie będzie pogromów.

Ale ci sami żydzi jednocześnie się martwią, że Polacy zwyciężają.

„A co będzie z Trockim“? – to także ich smuci.

Martwią się żony, mające mężów na frontach, bo bolszewicy wprawdzie uciekają, ale bolszewiczki zostają — a wiadomo, że ich zapatrywania są bardzo swobodne i że mają skłonności do poddawania się.

Martwią się i panny, a zwłaszcza wdówki, bo czy zwycięstwo czy klęska, zawsze ubywa mężczyzn młodych i do małżeństwa ukwalifikowanych. Pewna wdówka twierdzi, że jeżeli wojna potrwa dłużej, to wkrótce trudno będzie o kawałek mężczyzny.

Na razie jednak, pomimo ogromnego na ten artykuł zapotrzebowania, braku się jeszcze nie odczuwa. Owszem nastała pewna epidemja żeniaczkowa a ledwie rozkwitłe pączki już są zrywane przez młodziutkich oficerów. Narażając życie chcą przynajmniej pamiątki pozostawić po sobie.

Zresztą małżeństwo z ładną kobietą posiada okoliczności łagodzące. Niema obawy, aby w razie owdowienia zabrakło jej pocieszycieli. Nawet podczas oddalenia się męża, można znaleść chętnych zastępców.

Zresztą „wierne“ kobiety są najnieszczęśliwsze, natrafiają bowiem zazwyczaj na mniej wiernych małżonków. To też najczęściej widzimy je smutne, stroskane, zajęte śledzeniem gdzie mąż za domem przebywa.

Jednej z nich mąż, ogromny kobieciarz, zginął w pierwszym roku wojny. Po wypłakaniu się sprowadziła jego ciało i z uroczystościami pochowała je w grobie rodzinnym. Na drugi dzień po pogrzebie poweselała. „Przynajmniej teraz wiem gdzie przepędza noce“ — mówiła przyjaciółkom.

!! SUBSKRYBUJCIE POLSKĄ POŻYCZKĘ !!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski. Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.